

WIESŁAWA KŁĘBUKOWSKA

ur. 1933; Lublin



| | |
|-------------------------|---|
| Miejsce i czas wydarzeń | Lublin, dwudziestolecie międzywojenne |
| Słowa kluczowe | szkoła Vetterów, Lublin, dzielnica Kalinowszczyzna, PRL, dzieciństwo, służba zdrowia, szkolnictwo, szkoła krawiecka Gogaczowej, kościół Salezjanów pw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Lublinie, majówki, Boże Ciało, Boże Narodzenie, kolędowanie, Wielkanoc, Romowie, zabawy, zabawy dziecięce, lodownia, pielgrzymki, Słomiany Rynek, ulica Wiejska, ulica Augustiańska, Drzymulska Konstancja, Kłębukowska Konstancja, Stachowicz Stanisław, |

Urodziłam się na ulicy Wiejskiej 8 w domu moich dziadków. Tam się urodziłam ja i moje rodzeństwo: Halina i Zdzisław. Obok w tym samym budynku po drugiej stronie mieszkał brat mojej mamy, Ryszard Drzymulski ze swoją żoną Marią i dziećmi: Eugenią i Ryszardem. Moja mama nazywała się tak jak moja babcia, Konstancja Kłębukowska, z Drzymulskich.

1. Zabawy z dzieciństwa

Dzieciństwo było skromne, ale bardzo wesołe. Miałam starsze rodzeństwo, które później, kiedy mieli już ponad 10 lat, a może i kilkanaście, miało swoją tak zwaną paczkę. Z tą paczką organizowali sobie imprezy w domu, piesze wycieczki –na przykład do Rudnika, do Świdnika. Wycieczki na łąki, wycieczki, [w czasie których] obserwowali loty szybowców, organizowane na dzisiejszym terenie ogórków działkowych. Kiedyś to były tereny łąk i pastwisk dworku Koryznów. Te szybowce słabo pamiętam, bo to bardzo odległe czasy, ale one były ciągnane linami, nie przez samoloty, w każdym razie wzbijały się. Jakie zabawy organizowaliśmy? Starsza młodzież organizowała sobie nawet zawody siatkówki. Skąd mieli tę [siatkę]? To nie była nasza własność, być może wypożyczali ze szkoły. W każdym razie siatka była przywiązana [z jednej strony] do słupa elektrycznego, który był ostatnim słupem oświetleniowym na ulicy Wiejskiej –przy samym wąwozie, dalej już nie było światła, a z drugiej strony do czeremchy, która rosła przed domem. Przed domem rosła również piękna brzoza. Jak była burza to się zastanawiałam czy ona nie zawali się na nasz dom, ale ona była tak potężna, że dawała radę wszystkim burzom i nawałnicom.

Oprócz tego, że była ta siatkówka, to chłopcy, ale i dziewczyny również, brały udział w zawodach, w rozgrywkach. Graliśmy w palanta, graliśmy w klipę, były przy tym emocje. Była gra z piłką w dwa ognie, ale nie pamiętam, żeby chłopcy kopali w nożną. Dziewczynki grały w klasy, miały również skakankę. Oryginalna skakanka z rączkami to już był raczej luksus, ale dobra linka to pewno jeszcze lepsza była, jak ta skakanka, którą się kupowało w sklepie. Tego [jednak] nie wiem, bo takiej skakanki mama mi nie kupiła. Dziewczynki grały w klasy –rysowało się kredą i skakało się na jednej nodze i oprócz tego, że była zabawa, to jeszcze była dobra gimnastyka. Tak wyglądały nasze zabawy.

2. Harcerstwo i ksiądz Stachowicz

Jak jeszcze była zorganizowana młodzież? Chłopcy, którzy się już kwalifikowali, to znaczy mój brat Zdzisław i cioteczny brat Ryszard, należeli do harcerstwa. Harcerstwem opiekował się ksiądz Stanisław Stachowicz. To była wspaniała postać. Wszyscy opowiadali, że kiedy był okres kolędy i ktoś dał ofiarę, to ksiądz Stachowicz w jednym domu dostał, a w drugim zostawiał. To był człowiek bardzo oddany, organizował chłopcom wycieczki, chodziło o to, żeby zagospodarować im wolny czas. Ale była jedna impreza na skalę całej dzielnicy. Ksiądz Stachowicz zorganizował dla harcerzy wyjazd nad morze. Proszę sobie wyobrazić –w okresie przedwojennym pojechać nad morze, to była sensacja. Wiem, że nie wszyscy mieli na to pieniądze. Jak to ksiądz zorganizował, trudno mi powiedzieć. Pewnie dorośli wiedzieli, na jakiej to było zasadzie, na jakiej zasadzie było całe jego życie w parafii. Mój rodzony i cioteczny brat również w tej wycieczce uczestniczyli. To była sensacja. To były wspomnienia, bo jakie dziecko wtedy mogło sobie pozwolić nad morze pojechać.

3. Wyjazdy na letnisko

Pewnego lata rodzice mojej koleżanki, Marysi Wawrzyńczykówny mieli ochotę wyjechać na tak zwane letnisko. Letnisko polegało na tym, że jechało się na wieś i mieszkało u jakiegoś gospodarza. Matka Marysi, tej mojej koleżanki poprosiła, żeby mama pozwoliła mi z nimi pojechać. I pojechałam z nimi do Borzechowa. Zobaczyłam po raz pierwszy jak wygląda wieś. Chociaż vis a vis mieliśmy gospodarstwa, to były takie gospodarstwa bardziej miejskie, nie typowe. Po raz pierwszy widziałam jak wygląda las. Owszem, moje rodzeństwo i starsi chodzili do lasu, do Świdnika. Nawet babcia Konstancja Drzymulska chodziła do lasu na grzyby. Pamiętam, że całą kobiałkę, taki kosz grzybów przynosiła z lasu, ale czy w domu były robione przetwory, to tego ja już nie pamiętam. W Borzechowie zobaczyłam jak wygląda las, ale zobaczyłam coś jeszcze bardzo ciekawego. To był już okres okupacji i mówiono tam w taki bardzo tajemniczy sposób, że do córki gospodarza przyszedł partyzant. Bardzo byłam ciekawa, jak ten partyzant wygląda. To był młody chłopak, przyzwoicie ubrany. Przyszedł z lasu odwiedzić swoją narzeczoną, czy dziewczynę. Tam na wsi, w tym domu, gdzie mieszkaliśmy po raz pierwszy zobaczyłam też jak wygląda warsztat

tkacki. Córka [gospodarzy] tkła na takim warsztacie. Nie na krosnach, to chyba nie nazywało się krosno, tylko warsztat. Bardzo mi to się podobało, to było dla mnie strasznie ciekawe, to było przeżycie.

4. Szkoła w latach przedwojennych

Babcia Konstancja Drzymulska opowiadała, że jej kształcenie polegało na tym, że do domu przychodził nauczyciel. Babcia czytała i pisała, a jednym z przyborów do nauki była mała, czarna tabliczka, na której się pisało kredą. Ile czasu trwała ta nauka, tego nie pamiętam, może babcia tego nie mówiła. Z kolei moja mama chodziła do szkoły już tutaj na Kalinowszczyźnie. Opowiadała mi, że jeżeli ktoś był z drugiej strony Bystrzycy –Tatary, Łęczyńska, jeżeli uczniowie stamtąd chcieli uczestniczyć w nauczaniu w tej szkole, to musieli się przemeldować na ulicę Kalinowszczyzna. Opowiadała również, że razem z nią uczyły się [dzieci żydowskie], mama to tak określała: „Uczyły się ze mną Żydóweczki” Nie mówiła –„Żydówki”czy „Żydowy” mówiła: „Żydóweczki” Były schludnie, czysto zawsze ubrane i takie porządnie przygotowane do tego pobytu w szkole. Potem, ale to już był okres przed wojną, mama chodziła do Szkoły Ćwiczeń imieniem [Grzegorza] Piramowicza, to był taki wstęp do seminarium nauczycielskiego. Chodziła do tej szkoły, ale jej nie skończyła. Z kolei moje rodzeństwo przed wojną chodziło już do tak zwanej Szkoły Powszechnej numer 10 imieniem Henryka Sienkiewicza. Są [zachowane] zdjęcia mojej siostry, kiedy młodzież zbiera się na placu ze sztandarem, bo szkoła miała swój sztandar, i [idzie] na uroczystość 11 listopada. To było coś tak oczywistego, jak również to, że w niedzielę młodzież szła do kościoła parami. Na zdjęciu były dzieci, które były bose. Ale do szkoły chodziły. Teczki były różne, chłopcy w wielu przypadkach –to sama widziałam, mieli książki związane takim rzemiennym paskiem. Przez ramię przerzucali i szli do szkoły. I się uczyli. Przed wojną takim autorytetem w szkole numer 10 był pan Ujma, pan woźny. Mieszkał tak gdzieś w okolicach kirkutu i był postrachem chłopaków. Tam jak ktoś chciał narozrabiać to bał się, bo [woźny] łapał za ucho –dzisiaj to jest nie do pomyślenia. Łapał za ucho i jak podkreślił, to chłopak już drugi raz bał się mu podpaść, jak to się teraz dzisiaj mówi. Szkoła mieściła się przy ulicy Tatarskiej, numer 10 chyba, już nie pamiętam dokładnie. Klasy były ogrzewane, były piece, a podłogi były ropowane. Były ławki, a w ławkach otworki, w których umieszczano kałamarze i to chyba dyżurni musieli pilnować, żeby tam zawsze był atrament. Pisało się nie długopisem, tylko stalówką. Była obsadka i w tę obsadkę była oprawiona stalówka.

5. Nauczanie w okresie okupacji

W '9 roku już w czasie nalotu część budynku szkolnego została zniszczona, zburzona, w związku z tym był problem z rozmieszczeniem dzieci. Już po wybuchu wojny babcia zaprowadziła mnie do szkoły, ponieważ ja się w domu nudziłam. Mając starsze rodzeństwo już umiałam i pisać, i czytać, więc trzeba było jakoś mi [czas]

zagospodarować, więc babcia mnie zaprowadziła do szkoły. Część klas [uczyła się] w szkole numer 26 –chyba wtedy tak się nazywała, która była w budynku księży salezjanów. Uczyłam się również w takiej salce, w pomieszczeniu po dawnej aptece. Dzisiaj to już jest budynek bardzo zrujnowany, ale jeszcze stoi, to [ten] z krzyżem na ścianie frontowej, tam też była klasa. Było bardzo zimno, to był okres wojny, więc wszystkim było źle, wszystko było biednie, sale były nieogrzewane. Jak ktoś przyniósł węgiel, to się tam czasem rozpałiło, ale były przypadki, że zimą trzeba było w paltach siedzieć i tak uczyć się. Tak to pamiętam. Uczyłam się również w tak zwanej sali parafialnej. W budynku parafialnym jedna duża sala była przeznaczona na naukę, tam również dzieci chodziły, ale już nawet nie przypominam sobie jak wyglądały ławki, bo to niemożliwe chyba, żeby to były ławki szkolne. W ogóle było 7 klas szkoły podstawowej, ale można było po 6 klasie, jak ktoś zamierzał dalej się uczyć, nie powtarzać tej 7 klasy, tylko [pójść do gimnazjum]. I ja po wyzwoleniu poszłam do siostr urszulanek i cztery lata byłam w gimnazjum. To była prywatna szkoła i nie było ciekawie, bo to już był czas represji komunistycznych. Kiedy kończyłam tę szkołę średnią, wszystkie uczennice musiały zdawać tak zwaną małą maturę jako eksterniści. Musieliśmy zdawać egzamin ze wszystkich przedmiotów, jakie mieliśmy w gimnazjum i przed zupełnie obcą komisją. Nasi nauczyciele byli statystami. To było takie działanie komunistów, żeby szkoły [prywatne] niszczyć. Później poszłam do szkoły handlowej do Vetterów, tam już matura wyglądała inaczej. Normalnie, tak jak w każdej szkole. W czasie okupacji, ponieważ nie było innych szkół, tylko szkoły zawodowe, moja siostra chodziła do szkoły krawieckiej pani Gogaczowej. Obok przedmiotów zawodowych były również przedmioty ogólne, oczywiście oprócz historii, bo tej w żadnej szkole nie uczono. Zawsze mnie fascynował kunszt, z jakim poświęcano się pracy zawodowej. Jakie modele te uczennice robiły z papieru, to –jak teraz mówią –głowa mała! Z kolei brat mój w czasie okupacji chodził do szkoły handlowej Vetterów, bo tylko ta szkoła jedna działała. Mnie fascynowała sprawa stenografii.

6. Działalność kościoła św. Agnieszki

Kościół [św. Agnieszki] z tego, co czytałam, co wiadomo ze źródeł, nie był ufundowany przez jakiegoś możnego, kogoś majątnego, ale to okoliczni mieszkańcy [go] wybudowali. Nie wiem czy to jest możliwe, ale tam również były i dwory, takie małe dworki szlacheckie, które mogły to sfinansować. Babcia opowiadała mi, że po powstaniu styczniowym, kiedy wszystkie klasztory podlegały kasacji, a to był klasztor augustianów chyba, po prostu ich wyrzucili stamtąd i kościół bardzo podupadł. Babcia mówiła, że dach kościoła był pozatykany jakimś snopkami, żeby woda się nie lała do [środka]. Jak ja pamiętam okres przedwojenny to w kościele były dwa dzwony. Była tak zwana sygnaturka i duży dzwon, który był w dzwonnicy umieszczony. Ten duży dzwon był poruszany przez jakieś sznury bardzo potężne, a sygnaturka to był taki mały dzwon na wieżycze kościoła. I tam przed jakimiś uroczystościami, przed

mszami świętymi niedzielnymi przychodził kościelny i pociągał za taki rzemienny pas. Z tego, co pamiętam ten kościelny nazywał się Pan Ignacy. W kościele również były organy. Tam z kolei był zaangażowany Paweł, z tego co pamiętam był inwalidą, tak nogą zarzucał. I on poruszał miechami, bo organy nie były elektryczne, to było wtedy niemożliwe, tylko [działały] na zasadzie poruszania miechów. Słyszałam takie określenie, że on kalikował, że to właśnie poruszanie tymi miechami tak się nazywało, ale czy tak się nazywało to nie wiem. Kościół miał piękne freski, najpiękniejszy fresk był nad prezbiterium, to była święta Maria Magdalena pod krzyżem. Był piękny. A na górze po bokach, cała góra kościoła to były twarze malowane w takich rozetach, nie postacie, tylko głowy wszystkich apostołów. Kiedy zrobiła się moda na Picassa, to i księdza ogarnęła pasja Picassa. Kazał zamalować te piękne freski. Nie mogę tego w ogóle darować. W prezbiterium również były jakieś obrazy zakonników, to kazał pomalować anioły. Anioły miały skrzydła kwadratowe, to była dla mnie okropna zbrodnia. Teraz może by po prostu konserwator zabytków na to nie pozwolił, ale wtedy taka była moda. W mieszkaniach też wszyscy malowali sobie ściany w kwadraty, w różne jakieś tam ciapki, to było straszne moim zdaniem.

7. Majówki i procesje na Kalinowszczyźnie

Jak pamiętam to organizowane były procesje. Pod figurą, która w tej chwili jest na skrzyżowaniu ulicy Turystycznej i Mełgiewskiej, tam zbierały się dziewczyny, kobiety i w okresie maja śpiewały pieśni. Myśmy tam nie chodzili, ponieważ nie rozumieliśmy jakoś tego, uważaliśmy, że do kościoła nam bliżej, nikt z mojej rodziny tam nie chodził, ale latem jak się okno otworzyło to taki ładny śpiew rozlegał się po całej dzielnicy. I były również organizowane procesje w okresie Bożego Ciała. To tak chcę podkreślić szczególnie, bo teraz też są te procesje, ale ubieranie ołtarzy to była taka praca, która angażowała wszystkich sąsiadów. Takie ołtarze były organizowane również na ulicy Wiejskiej przed naszym domem. Raz pamiętam przed ścianą czworaków również był ołtarz ubrany. Na Kalinowszczyźnie, na ulicy Towarowej również to było przez kilka lat. Zieleń była przez chłopaków wycinana, żeby stroić takie aleje, prawie dosłownie robili [aleje], żeby dojść do tego ołtarza. Wycinali po prostu zieleń, drzewa, które były przy ulicy cmentarnej. Tak ją określaliśmy: cmentarna, ale to była ulica Augustiańska. Na procesję szły kobiety, tak jak teraz dzieci idą i sypią kwiaty, były chorągwie, a kiedyś jeszcze były tak zwane feretrony, takie poduszki z szarfami, jakieś takie stoliki. Oprócz tego były obrazy. Taki obraz nosiły panie, to nie były młode dziewczyny, bo również moja babcia nosiła obraz, z tym, że kobiety musiały mieć białe szale. Babcia również miała taki biały szal. Kiedy przyszedł czas mojej pierwszej komunii –oczywiście to były czasy okupacji i o żadnym materiale, żeby kupić, to nie było mowy –babcia ten swój szal poświęciła na moją sukienkę do pierwszej komunii. [W procesji] uczestniczyły również dzieci z pierwszej komunii, tak, jak teraz. Z tym, że przedtem wszystkie te dzieci, dziewczynki i chłopcy byli w miarę ładnie poubierani, a dziewczynki miały lilijki. Te lilijki, jak

pamiętam, były zrobione z bibuły i były takie ładne. Tak to pięknie wyglądało, te malutkie dzieci z tymi lilijkami. A jeszcze taki był zwyczaj, raczej bym powiedziała, że przesąd, bo kiedy przy ostatnim ołtarzu już ksiądz udzielił błogosławieństwa, to kobiety łamały te gałązki brzoźki, żeby zanieść je do domu. Była taka opinia, że to chroni przed piorunami, przed pożarem, tak, że przy tym ostatnim ołtarzu po tej całej uroczystości zostawały tylko same tyczki. Ale ponieważ wszyscy o tym wiedzieli, więc nikt nie robił żadnych [trudności].

8. Kiedyś szły kompanie do Częstochowy

Były też pielgrzymki. Ja nie pamiętam, żeby była jakaś pielgrzymka organizowana do Częstochowy, bo jak ja mam swoją świadomość to już był okres okupacji, ale opowiadała mi babcia, że były organizowane pielgrzymki, w których uczestniczyła moja prababcia Mroczkowska z Grabowskich, żona Franciszka. Ale to się nie nazywało kiedyś pielgrzymką. Kiedyś to szły kompanie do Częstochowy. Kompanie. Babcia opowiadała, że z kompanią szła jej matka, ale zachorowała na nogi i tak już potem została w Łucku, bo tam pradziadek dzierżawił młyn. W Łucku umarła i została tam pochowana. Ale szła z kompanią. Natomiast pradziadek przywiózł takie modlitwy właśnie z pielgrzymki, z tak zwanej kompanii do Częstochowy. Ja nie pamiętam, żeby od nas tutaj była jakaś pielgrzymka, bo w czasie okupacji to nie było mowy o tym, żeby się wybierać do Częstochowy, to było zabronione. Był okres, jakiś jeszcze czas po wyzwoleniu, kiedy się odbywały, ale to się szybko skończyło.

9. Przedstawienia u salezjanów

Po wyzwoleniu księża salezjanie, jako że są tacy predysponowani do tego, żeby się opiekować młodzieżą, szczególnie chłopcami, jakoś tam chłopców organizowali. Były różne imprezy, rozrywki, ale co ja szczególnie sobie zapamiętałam, to było organizowanie tak zwanych przedstawień. Przedstawienia polegały na tym, że były wystawiane jasełka w okresie Bożego Narodzenia i Golgota w okresie Wielkanocy. Były również i przedstawienia takie jak wcześniej opowiadałam, różnych innych sztuk, takich które nie wymagały wielkiego artyzmu, ale muszę powiedzieć, że księża robili to z ogromnym talentem, bo chłopców organizowali, dali im zajęcie, mamom i siostram również dali zajęcie przy przygotowaniu strojów, bo przecież nikt innych strojów nie miał. To był okres po wyzwoleniu zaraz, więc była ogólna bieda, ale wiem, że i moja mama, i siostra, i ja byłyśmy zaangażowane mocno w wykonanie strojów góralskich, krakowskich. Zbieraliśmy, kto gdzie tylko mógł jakie wstążki, jakieś [skrawki], bo ludzie mieli przed wojną też ubrania takie dla dzieci, krakowskie czy góralskie, to organizowaliśmy wśród mieszkańców. Nikt nie powiedział, że nie. Nikt nie powiedział, że nie ma czasu. To było takie pospolite ruszenie, o tak to mogę określić. I tam właśnie ci chłopcy śpiewali. Była również orkiestra. W orkiestrze to chyba księża grali, na pewno nie była jakaś zamówiona. To trwało bardzo długo, nie pamiętam, w jakich dniach były te przedstawienia –może w sobotę, w niedzielę na

pewno i cały Lublin był zainteresowany. Były normalne ławki takie proste i cała sala była pełna przy każdym przedstawieniu. [W jasełkach] oprócz tego, że były tam te postacie święte, historyczne, biblijne to również pamiętam, że raz husarz przyszedł do żłóbka Jezusa. Przyszedł również jeniec w pasiaku, a wtedy akurat orkiestra grała „Z kurzem krwi bratniej” To jest taka bardzo smutna pieśń. My dzieci nie wiedzieliśmy, o co chodzi, z czym związana jest ta pieśń, ale starsi płakali. To robiło wrażenie i to było bardzo takie integrujące, mobilizujące całą dzielnicę. I dla Lublina było czymś [wyjątkowym], bo nigdzie czegoś takiego nie było jak tylko właśnie u księży salezjanów. Potem, jak już doszedł do władzy komunizm, zabroniono przedstawień, a salę zabrano na magazyn. Magazyn był bardzo długo, już nie pamiętam, kiedy oddano tę salę salezjanom. W tej chwili w tej sali jest tak zwany dolny kościół. Nadal tam organizują spotkania, rozrywki dla młodzieży, różne dni radości. Nadal są zaangażowani na rzecz dzielnicy.

10. Zabawy zimą

Oprócz piłek latem to jeszcze [zimą] mieliśmy sanki. Organizowaliśmy [zjazdy] właśnie tam z dworku Koryznów od podwórza, tam gdzie były zabudowania gospodarcze. To było znacznie wyżej od naszego domu, więc z góry się jechało aż do samego mostu na Kalinowszczyźnie. To była frajda niesamowita, a jeszcze jak kto siadł na przodzie sanek i miał łyżwy i nie trzeba było kierować już obcasami, no to była naprawdę zabawa na sto dwa, jak to się mówi. Wszyscy troje mieliśmy łyżwy. Ale jak te łyżwy wyglądały, to jest w ogóle historia. Więc łyżwy były przytwierdzone tak zwaną żabką i przykręcane kluczem. Szło się do szewca, w obcasie buta, but musiał być z cholewką, wycinany był taki kwadrat, w ten kwadrat wpuszczona była żabka, a łyżwa miała taki wystający zaczep. Trzeba było przekręcić tę żabkę, a potem doprowadzić do buta z przodu i wtedy była taka łapka, która ścisnęła zelówkę. Tę łapkę przykręcało kluczykiem się, specjalnym kluczykiem do łyżew. Oprócz tego jeszcze łyżwa była przymocowana paskiem, który szedł od tyłu łyżwy. Ale i szewc miał też robotę, bo do tego trzeba było szewca zaangażować, a tam na Kalinowszczyźnie było dwóch szewców. Ale nie wszyscy mieli te łyżwy. Więc chłopcy, widziałam, strugali łyżwy, nie uwierzycie – z drewna. To były takie klocki trójkątne, długie jak but i na tym chłopcy jeździli. Oczywiście nie szli z tym na lód, tylko na śnieg ubity, a z tyłu jeszcze wypalali sobie takie miejsce na pasek i ten pasek był przytroczony z tyłu przez podbicie buta i przez palce. Oni też śmigali na tym bardzo dobrze. Nie wszystkich było [na łyżwy] stać. Nie wiem jak to było, że nas było stać, bo było też biednie. Chłopcy ścigali się, ślizgali na tak zwanej starej rzece, to było zakole Bystrzycy. Zimą tam można było się ślizgać. Nie pamiętam, żebym ja, czy siostra, ale brat pewnie był na tej starej rzece i się ślizgał. Co ciekawe, na tej starej rzece był tak wielki lód zimą, że rąbali go i część wozili podobno do dworku Koryznów. Duża część, nie wiem kto to organizował, ale pamiętam, że na furmankach były takie całe bloki lodowe i wieźli je do lodowni, która się mieściła tutaj

gdzie obecnie jedzie się z Podzamcza w stronę ulicy Walecznych. Po lewej stronie poniżej Biskupiaka była tak zwana lodownia w skarpie bocznej i właśnie tam umieszczali te [bloki], składowali lód. Lód był potrzebny, przecież nie było lodówek.

11. Zabawy w domu

Lubiliśmy chodzić na strych, dopóki babcia nie oddała samowarów. One może były niesprawne, już nie wiem, w każdym razie w domu one już były nieużywane. Może po prostu nie było herbaty, bo w czasie okupacji głównie piło się kawę czarną Enrilo. To była kawa zbożowa, czasem zabieleną mlekiem, bardzo często bez cukru. Ale pamiętam, że myśmy sobie organizowały takie spotkania przy samowarze na strychu. A oprócz tego, to chyba zostało wszystkim dzieciom, że się zawieszało na stole jakieś kapy i tam pod stołem myśmy sobie organizowały pokój dla lalek. To była taka miniaturka mieszkania, ale to tylko my bawiłyśmy się, bo chłopcy nie.

12. Szałas i domki

W ogrodzie robiliśmy sobie szałas. Zwłaszcza jesienią. Szałas robiliśmy z tyczek, no nie można powiedzieć, że z tyczek –ze słoneczników, które tworzyły taki jakby wigwam. Były i wigwamy, ale i szałas taki podłużny był też. Cała konstrukcja to były właśnie słoneczniki, łodygi ze słoneczników, a boki były potem przykrywane takimi łąkami suchymi z jakichś tam ziemniaków, czy z czegoś. To było takie trochę indiańskie. Chłopcy to robili, ale myśmy się też tam chowały i bawiłyśmy się tam. To było takie bardzo ciekawe schronienie. Jak to miejsce już było [puste] tak, że można tam było postawić [szałas], jak już było po wykopanych na przykład ziemniakach, czy marchewce, czy pietruszce to tego się nie rozwalalo, to zostawało. Nie mieliśmy obyczaju, żeby to, co tam rośnie zniszczyć, bo wiedzieliśmy, że to jest nasze jedzenie, że to jest nasza praca, a szczególnie praca mojej babci. Jako dzieci to tam bardzo żeśmy się do tej pracy nie rwali, ale trzeba było babci pomóc. Lubiliśmy babci pomóc, bo babcia była w domu, babcia była matką, a mama była ojcem, w sensie funkcji. Tak to pamiętam.

13. Gra w cymbergaja

Na czym polegała gra w cymbergaja. W grze w cymbergaja to już chłopcy się [specjalizowali], chociaż ja też próbowałam i niby dawałam sobie z tym radę. To było tak trochę jak obecnie bilard, ale zasada była taka, jak w piłce nożnej. Na szczytach stołu były wyznaczone bramki, albo szpilekami albo tak tylko zaznaczone. Gracz, który stał w bramce musiał strzelać, uderzać większą monetą w monetę mniejszą starając się tę monetę doprowadzić do bramki przeciwnika. Z tym, że to się posuwało płytką taką bakelitową po stole, bo inaczej to by się tam nie posuwało. I tak się strzelało. Ale to były rozgrywki, to były zawody! Chłopcy bardzo tym się pasjonowali. Taka była, między innymi, również ich zabawa.

14. Mali kolędnicy

Chodziliśmy [kolędować], ja też chodziłam. Była nas taka grupa, uczyliśmy się różnych wierszyków, piosenek i chodziliśmy, ale tylko do swoich sąsiadów i do znajomych. Na przykład do koleżanki, do rodziców mojej koleżanki szkolnej, do sąsiadów, ale do obcych to ja nie chodziłam. Dzieci się przebierały, dzieci się malowały, to była największa atrakcja, żeby się można było pomalować. Myśmy chodzili, śpiewaliśmy, mówiliśmy wierszyki związane z Bożym Narodzeniem. Ale nie było gwiazdy, chyba nie. Jak myśmy byli przebrani? Byli aniołowie, skrzydła z były tektury oblepiane bibułką taką karbowaną postrzępioną, która imitowała pióra. Jak one były umieszczone, tego po prostu sobie nie mogę przypomnieć, ale wiem, że taka tradycja była. Nie wiem, czym nas nagradzali, ale to nie były pieniądze. Pewnie słodczyce, bo ludzie nie bardzo mieli pieniądze, chociaż zwykle mieli zatrudnienie w garbarni jednej, czy drugiej, w rzeźni. Chłopców nie pamiętam, żeby [kolędowali], ale ja z moimi koleżankami chodziłam do sąsiadów i do znajomych.

15. Słomiany Rynek

Za mojej młodości, właściwie raczej dzieciństwa, to był plac targowy, [na którym] robiliśmy sobie wyścigi rowerowe. Ja nie miałam swojego roweru, ale moja cioteczna siostra, Gienia, która z nami mieszkała, miała rower i ja czasem z tego roweru korzystałam. Celina Bierutówna miała rower, Marynia Wawrzyńczykówna też miała rower, więc ja się z nimi tam ścigałam rowerem, bo [poza dniami targowymi] to był zupełnie pusty plac. Natomiast w dni targowe plac był pełen, pełen furmanek z gospodarzami, którzy przywozili tu swoje produkty. Nie pamiętam, żeby w ogóle była jakaś nierogacizna, a produkty to był głównie nabiał, śmietana, masło, sery, jajka, te rzeczy pamiętam. Jak przywozili śmietanę, to w takich glinianych naczyniach przykrytych lnianą ściereczką, szmatką taką i jak się zdjęło tę szmatkę, to tam było prawie samo masło pod tym. Jajka przywozili w takich kobiałkach, w sieczce były układane, żeby się nie potłukły. Sery też były zawijane w lniane szmatki, ale częściej były zawijane w liście chrzanu. Teraz to już egzotyka, ale tak było, ja to pamiętam. Myślałam, że Słomiany Rynek nazywał się tak dlatego, że [gospodarze] przywozili tam i sprzedawali mieszkańcom Kalinowszczyzny snopki [słomy], którą wypełniało się sienniki. Nie wiem, czy ktoś też przychodził tu z miasta. Z miasta –to też było miasto, ale tak się mówiło, że szło się do miasta. Sprzedawali te snopki po to, żeby wypchać nimi sienniki. Ale to była frajda, jak te sienniki były robione! Nie było materaców, przynajmniej u mnie w domu. U moich sąsiadów też nie pamiętam, żeby ktoś miał materace na łóżkach. Łóżka przeważnie były drewniane, a na nich były sienniki uszyte z lnianego płótna. Miały na środku wycięty otwór i oczywiście była klapka, którą się później ten otwór przykrywało, żeby słoma nie wychodziła pod prześcieradło. To była taka frajda, to spanie na świeżym sienniku, na świeżej słomie. Oczywiście na te sienniki kładło się prześcieradło i była też normalna pościel. Długo trwało to targowisko. Byłam już w gimnazjum kiedy były tak zwane czyny

społeczne i ja w tym czynie społecznym z koleżankami sadziłam drzewa, te właśnie, które tam rosną. [Słomiany Rynek] był wtedy ładnie zagospodarowany, później był taki okres, kiedy był zaniedbany, może już nie było tych zakładów produkcyjnych, które mogły nad tym utrzymywać jakiś patronat. I teraz mi się wydaje lekko zaniedbany, a w tym miejscu potrzebna jest zieleń. Sama Kalinowszczyzna, te budynki przy Towarowej nie miały żadnej zieleni. To był tylko ciąg budynków przeważnie czynszowych, z tamtej strony już piętrowych, ale zieleni nie było. Po drugiej stronie były te ogrody, o których mówiłam. Ogrody sięgały do naszej ulicy aż po ogród brata mojej babci, Seweryna Mroczkowskiego na Białkowskiej Górze. Tam też był bardzo ładny i duży ogród, został wywłaszczony pod budowę osiedla Kalinowszczyzna, ale prawie do lat 70-tych te ogrody tam były. Na terenie Słomianego Rynku jest taka budeczka, fragment ściany i dach, w której był wodociąg. Tam mieszkańcy okolicznych domów czynszowych, gdzie nie było właściciela, który by, jak to się mówi, tam przemieszkiwał, chodzili po wodę właśnie do tego jednego kranu. W środku siedział człowiek, który dyrgował tym, odkręcał wodę. To musiał być okres przedwojenny, pamiętam, miał taką szufladkę i jak ktoś przychodził, to wysuwał tę szufladkę i tam się jakieś grosze wrzucało –nie wiem ile tam to wiadro wody kosztowało. I za ile ktoś wrzucił, to on na tyle odkręcał. Z drugiej strony Kalinowszczyzny, tu gdzie było więcej właścicieli, to już każdy miał u siebie studnię. U nas była studnia na pompę i u dalszych sąsiadów również. Tak wymieniając posesje to u nas była studnia, u Państwa Żmudzkich, u Państwa Kellerów, dalej następna rodzina –Mroczkowscy, też mieli swoją studnię. Była studnia u Rządów, to była taka największa kamienica na Kalinowszczyźnie. Tak, że mieliśmy swoje studnie, które funkcjonowały do momentu, kiedy zaczęto budować fabrykę samochodów. Zaczęli tam wiercić studnie głębinowe i wtedy woda znikła. Potem zaprowadzili nam wodę, jeden źródło postawili przed czworakami i już musieliśmy stamtąd wodę brać, dopóki mąż siostry nie założył wodociągu do mieszkania. Wtedy już mieliśmy luksus.

16. Mieszkańcy Kalinowszczyzny

Państwo Wiczkowscy –to taka dygresja –jako pierwsi na naszej ulicy kupili sobie telewizor. Był taki zwyczaj, że zapraszali sąsiadów [na telewizję], ja tego nie pamiętam, ale siostra mi kiedyś przypomniała, że chodziliśmy do państwa Wiczkowskich na programy telewizyjne. Więc to też było takie wydarzenie, że sąsiadów się zapraszało. Dalej mieszkali Pachutowie, później Franaszczuk, nasz sąsiad felczer, który nam udzielał zawsze w każdej sytuacji pomocy, a potem mieszkaliśmy my, to znaczy babcia Konstancja Drzymulska. Później, po drodze była działka jeszcze państwa Gapsów, którzy mieli dom na samym rogu Kalinowszczyzny i Wiejskiej, potem działka Adamików. Po wyzwoleniu mąż jednej z Adamikównych, pan Zacharski postawił tam piękny dom. To był fachowiec, który przyjechał z poznańskiego, pracował w rzeźni miejskiej i był tam mistrzem, szefem. Pobudował

tam sobie piękny piętrowy dom, ale historia tego domu była potem bardzo smutna. To ulica Wiejska. Po drugiej stronie były domy i budynki gospodarcze rodziny Gnybków, potem Niedźwiadków i Wawrzyńczyków. Mieszkała tam również nasza kuzynka Zabłocka, to była rodzina ciotecznego brata mojej mamy. Pamiętam również, to jeszcze był okres przedwojenny, że na samym rogu, zaraz za samym mostem stała budka, w której się opłacało tak zwane myto. Chyba to się nazywało myto, w każdym razie wjazd do Lublina tam się opłacało, ja tę budkę pamiętam. Potem, ale to już na Kalinowszczyźnie, z samego brzegu mieszkała rodzina Pawlaków. Pan Pawlak był szewcem, tak mi się wydaje. Dalej była taka kamienica, mówiliśmy: „u Bociana” dlaczego „u Bociana” to nie wiem. To chyba była kamienica żydowska, później mieszkali tam uchodźcy ze wschodu, jak sobie przypominam. Później była kuźnia pana Kleczki. Kuźnia była tak w głębi, nie przy samej ulicy, tylko tak głębiej umieszczona. Jedna z córek pana Kleczki była również zamężna z naszym kuzynem Zabłockim, ta rodzina Zabłockich, spokrewniona z nami, była bardzo liczna. Julia Zabłocka to była siostra mojego dziadka, Ludwika Drzymulskiego. Pamiętam tę małą kuźnię i pamiętam też, że przed tą kuźnią siadywała sobie właścicielka, żona pana Kleczki. Siedziała sobie zawsze na krzeselczku i zawsze była w białym fartuszk. Ten fartuszek tak mi utkwiał w pamięci. Później była kamienica, dom państwa Żmudzkich, którzy mieli masarnię i dom państwa Kellerów. Państwo Kellerowie też byli związani z rodziną mojej babci. Kiedy [pani Kellerowa] przychodziła do mojej babci to mówiła: „bratowo” chociaż dla pozostałych sióstr mojego dziadka, to moja babcia zawsze była „bratusiową” O bratowych się zwykle mówi tak nie najlepiej, ale moja babcia była „bratusiową” Zawsze, czy jak przychodziły na jakieś uroczyste śniadania, czy w późniejszym okresie, to zawsze była „bratusiową” Dalej był dom Czwórnogi. To był tak troszkę wsunięty budynek, przez jakiś okres tam była piwiarnia u Czwórnogi. Później była piekarnia Zięby. Mieszkał tam również pan Klej, był dom państwa Rygierów, którzy mieli sklep spożywczy, a jeszcze wcześniej był dom Mroczkowskich, również związanych z moją rodziną. Ten dom stał tak głębiej, nie był przy samej ulicy, bo przy samej ulicy oni mieli sklep monopolowy. Dalej była kamienica Rządów, oni tam mieli dwa sklepy. Była masarnia i ten dom czynszowy, gdzie później mieszkała moja koleżanka, kiedy jej rodzina przeprowadziła się do państwa Rządów. Były tam takie schody wąskie i wysokie, ale też warunki mieszkania już były inne. We wszystkich domach, o których mówiłam były studnie. Na samym rogu był budynek, w którym jak pamiętam była piwiarnia Staweckiego. A jeszcze wcześniejsze był sklep Łuckiewicza. To był taki sklep ze słodyczami, spożywczy troszkę. Jak to się kiedyś mówiło: groch, mydło i powidło. Jego syn był jakimś zawodnikiem kolarskim, działał w jakiejś organizacji. Na samym rogu już właściwie na ulicy Cmentarnej, czyli Augustiańskiej mieszkała rodzina również związana z rodziną Mroczkowskich. Oni też mieli bardzo duży ogród, który sięgał do samej ulicy Cmentarnej. Dalej to już był ogród przykościelny, który chyba dzierżawił od księdza pan Beć. Miał taki ładny ogród i tam szklarnię. A później były już

podwórza przykościelne i dom, który jeszcze w tej chwili stoi. Tam mieszkał kościelny pan Depta, a w jednym z pomieszczeń był magiel. Chodziło się tam do magla. Magiel był ręczny, trzeba się było machać przy tym. Nosiliśmy tam swoją bieliznę i sami maglowaliśmy, tyle że się tam opłacało jakieś pieniądze. Mówiło się, że do kościoła to jest jedna Kalina, za kościołem to była druga Kalina. Tam już mieszkali państwo Soborscy i państwo Zielińscy, którzy mieli swoją aptekę. Bardzo ładna była ta apteka. Ten stoi budynek jeszcze, jest tak jakby przylepiony do nowego budownictwa. Apteka była bardzo przyzwoita, był tam telefon, to z tego ją pamiętam. Kiedyś miałam zadanie szkolne, trzeba było zrobić rysunek –telefon. Poszłam do pani Zielińskiej, wyręczyła mnie, ale stąd pamiętam, że tam był telefon. Potem był dom Drzymulskich, dom tego brata mojego dziadka, który miał tam zakład stolarski. To był nieduży budynek z gankiem i tam właśnie miał swoją stolarnię Jan [Drzymulski] brat mojego dziadka. On też jest pochowany na Kalinowszczyźnie. Dalej już była Sierakowszczyzna. Na samej górze była jeszcze jakaś piekarnia, drugi magiel, taki jasny, piętrowy budynek, a na samej Białkowskiej Górze miał ogród brat mojej babci, Seweryn Mroczkowski. Tam mieszkała jego rodzina, a on sam, ponieważ był jakimś szefem we młynie Krauzego to tam mieszkał, w takim pałacyku. Tam pewnie mieli mieszkania pracownicy, którzy pełnili jakąś funkcję. Kiedy dziadek umarł, a miał chyba 90 lat, pomieszkiwał tam jego syn, ale potem już musiał się [wyprowadzić]. Dalej był dom starców vis a vis Kalinowszczyzny, a na tyłach tego domu starców była ulica Okólna. W tej chwili tam jakieś budyneczki stoją, a tam gdzie jest [salon samochodowy] Peugeot, stał taki parterowy dom gdzie mieszkała również pani Bednarska, która była akuszerka. Nie było takiego zwyczaju, żeby jechać do szpitala, więc ona we wszystkich porodach brała udział. Chodziła z taką felczerską torbą, pamiętam nawet jak wyglądała. Jak już mówimy o lekarzach, to oprócz pani [Bednarskiej] i pana Franaszczuka Wacława, który był naszym sąsiadem, był jeszcze pan Soborski, lekarz, który również leczył mieszkańców dzielnicy. . Mówiąc o służbie zdrowia chcę powiedzieć, że w szkole podstawowej mieliśmy również pielęgniarkę. Rola pani pielęgniarki polegała może głównie na tym, żeby sprawdzać higienę dzieci. Dziewczyny musiały mieć głowę sprawdzoną, chłopcy szyję, chodziło głównie o zachowanie higieny. Pani pielęgniarka również uczestniczyła w szczepieniach, bo szczepieni byliśmy w szkole. Kiedy byliśmy szczepieni chyba przeciwko durowi brzuszemu, to było straszne dla nas przeżycie. Nie wiem, co to były za szczepionki, ale po tych szczepionkach wszyscy leżeli pokotem w domu. Ręka była napuchnięta od łokcia do barku, nie można było nią ruszyć. I dwa, trzy dni trzeba było tak przetrwać. Byliśmy, również w szkole, szczepieni przeciwko ospie. To też nie było przyjemne, ale byliśmy zaszczepieni.

17. Cmentarz

Z opowiadań mojej babci, powołuję na jej pamięć, bo miała pamięć doskonałą [wynika], że jednym z pierwszych pochowanych na cmentarzu [na Kalinowszczyźnie]

był wuj mojej babci Jan Mroczkowski. W tej chwili w tym miejscu, w tych katakumbach już są chowani [zmarli] z rodziny Adamików, bo tak jak opowiadałam, Adamikowa pochodziła z Mroczkowskich. To jest przy samym wejściu na cmentarz, bardzo blisko bramy wejściowej. Na cmentarzu, również bardzo blisko wejścia jest grobowiec Koryznów. Tam są wszystkie epitafia wypisane –kto, co i jak działał. Cmentarz już nie jest taki, jak kiedyś. Ale w tej chwili staraniem księdza [powstał] również obelisk [poświęcony] ruchom powstańczym, to znaczy upamiętniający powstanie listopadowe, styczniowe, '9 rok, stan wojenny. [Stanął] przy ostatniej alei, bo tam są takie trzy aleje, jak zawsze mówiliśmy. Co ciekawe, ja to pamiętam, jak był okres wszystkich świąt i dzień zaduszny [wzdłuż] całej alei przy wejściu do cmentarza siadali dziadowie cmentarni. To pamiętam. Nie było wtedy emerytur, więc jak było takie święto, było dużo ludzi na cmentarzu, to obsiadali całą tę alejkę i głośno się modlili. Śpiewali, kto tam głośniej mógł, to krzyczał, bo myślał, że więcej dostanie. Jak ja pamiętam to tak co najmniej dwadzieścioro ich tam było, jak ja szłam na ten cmentarz. Modlili się, krzyczeli, ale ludzie coś tam im dawali i prosili [o modlitwę] za dusze zmarłych.

18. Ślady żydowskich mieszkańców Kaliny

Nie mogę powiedzieć, żebym pamiętała jakiegoś Żyda, żebym pamiętała jak wyglądał. Nie, tego nie powiem, bo bym zmyśliła. Na mojej ulicy, na Wiejskiej Żydzi nie mieszkali. Mieszkali natomiast na Kalinowszczyźnie. Muszę powiedzieć, że były takie szczególne zapachy tam, gdzie mieszkali Żydzi. Ale, czy ja tam chodziłam? Ja tylko tamtędy przechodziłam. Ale ja tam po prostu nie chodziłam, bo ja tam nie miałam żadnego zainteresowania, ja tam nie miałam kolegów, bo jak ja chodziłam do szkoły w czasie okupacji, to tych dzieci żydowskich już tam nie było. Pamiętam tylko nazwisko: Grenda. Mówiło się „u Grendy” moja siostra pamięta, że to tam wujek Franciszek Mroczkowski, brataniec mojej babci zapraszał mnie i siostrę na cukierki. To właśnie Grenda był. Siostra mi mówiła, że tam było bardzo czysto. Mieli tam na pewno jakieś sklepy, na pewno również tam mieszkali, ale ja nie kojarzę żadnego nazwiska, oprócz nazwisk właścicieli garbarni. To był Brikman i Zylbersztajn. Tak się tu mówiło –i to długo, że pracował u Brikmana, u Zylbersztajna. Zresztą mama później też jakiś czas w tej garbarni pracowała, dopóki nie przemienili tego na zakłady futrzarskie. Przejął to Kurów, a potem już zostało zlikwidowane. A teraz w tym miejscu jest piękna ulica. Wiem, że jak Niemcy zrobili pogrom Żydów to [ludzie] mówili, że tam są porozwalane jakieś meble, jakieś pierzyny. Tylko to słyszałam w domu, ale mama nie pozwalała, żebyśmy tam poszli oglądać, bo ja miałam 5 lat, a tam po prostu na ulicy leżały trupy.

19. Ulica

Ulica była wybrukowana takimi kocimi łbami, a ponieważ nie było kanalizacji, więc tam wszystko ciekło rynsztokiem, były zapachy. To pamiętam. Jeśli chodzi o środki

lokomocji, to już przed wojną jeździł autobus, ale głównie to jeździły furmanki. Furmanki z okolicznych wiosek. Bo [do naszej parafii] należały wszystkie okoliczne wioski: Jakubowice, Trześniów, Wólka, Turka, za pamięci mojej babci to również i Bronowice należały. Więc w okresie świąt to był taki spęd furmanek. Cała ulica Cmentarna to był jeden wielki parking, tam ich było bardzo dużo i tych koni z workami z obrokiem, bo jak [ludzie] szli do kościoła, to konie zostawały na cały dzień. Tam głównie jeździły furmanki, a zimą jeździły sanie, normalnie takie chłopskie sanie zaprzężone w konie. Chłopcy, którzy mieli łyżwy, czepiali się tych sań, żeby tam ich troszkę pociągnąć. Nie wiem, dlaczego gospodarze ich batami odganiali, bo przecież dla tego konia to chyba nie było ciężaru, ale może po prostu o bezpieczeństwo chodziło, chociaż samochody tam żadne nie jeździły. Pamiętam, że rzadkością było jak się tutaj trafiła dorożka, czy sanki z janczarami, ale to było takie bardzo, bardzo eleganckie.

20. Smaki dzieciństwa

Jeśli czegoś nie lubiłam, to krupniku. Wtedy był krupnik, była kartoflana zupa, mięsa nie było, nie mogę się pochwalić, okrasa to była słonina, ale też nie zawsze. Krupniku nie lubiłam, ponieważ sobie wymyśliłam, że od krupniku mnie głowa boli. Nie lubiłam krupniku, nie lubiłam czerwonego barszczu, który czasem był, bo w domu były buraki. W domu były też grzyby suszone, babcia przywoziła i suszyła te grzyby. I gotowała lemieszkę. Lemieszka to były [ugotowane] ziemniaki. W to wsypana była mąka i z tą mąką ziemniaki były utłuczone tłuczkiem i polane słoniną. Pamiętam, że w domu była taka rynienka, w tej rynience babcia robiła taką babkę. Na spodzie był jakiś tam tłuszcz, czasem smalec, jak był w domu i jak ja przychodziłam ze szkoły to babcia mi dawała tę lemieszkę. To było bardzo dobre. Teraz się daje masło, daje się śmietany i jest purée. Wtedy nie było purée, tylko była lemieszka. Tak bliżej świąt, a może w same święta gotowało się również kaszę jaglaną ze śliwkami suszonymi. Pewnie te suszone śliwki były również z naszego ogrodu, bo w domu na ogrodzie babci były śliwki. I one były polane śmietaną. To już było jedzenie luksusowe. Moja druga babcia, ojca matka, babcia Paulina zapraszała nas na pierogi z sera. To też już był luksus, bo albo babcia dawała nam w osobnej salaterce śmietanę, albo pierogi były polewane śmietaną. Jakie były jeszcze takie ciekawe dania? Baby na Wielkanoc. U nas był piec w kuchni w domu, ale chleba tam się nie piekło. Nie wiem, czy nie było zwyczaju, w każdym razie u nas w domu tylko na święta były pieczone baby. Kiedy mama miała lepszą pracę można było robić te babki i placki. Szczególnie pamiętam baby, bo były pieczone w takich glinianych formach i babcia cały czas dozorowała pieczenie. [Ciasto] wyrabiało się w dzieży, rosło nie wiem, jak długo, w każdym razie to był cały wieczór. Przy okazji pieczenia tych bab, tych ciast było towarzyskie spotkanie wszystkich ciotek. Tak było, że babcia nikomu nie odmawiała. A później to już moje sąsiadki i moje kuzynki nosiły [ciasto] do piekarni. Święta w ogóle były takim jakimś większym przeżyciem. W sprzedaży ryły również ryby, chyba suszone. Czy to

był dorsz, nie wiem, ale to była jakaś duża ryba. Potem babcia z tego gotowała gałki rybne, to już było na święta. A w ogóle babcia była artystką, jeśli chodzi o rybę po żydowsku. Na Boże Narodzenie był oczywiście barszcz, były uszka i była ryba po żydowsku. Pewnie to były świeże ryby, nie wiem skąd, ale były. To było strasznie pracochłonne, bo ryba była najpierw pocięta na dzwonka, z tych dzwonek było wykrojone mięso. Gotowany był wywar z włoszczyzną, potem musiały być ryby posiekane. Na blacie kuchni pieczony był placek –podpłomyki to chyba nazywali, po prostu mąka z wodą, niesolone, upieczone takie okrągłe placki. Teraz się daje bułkę tartą, a wtedy podpłomyki były kruszone i były dodawane jajka. Te dzwonki były nadziewane i układane tak warstwami. Babcia była artystką. Bardzo, bardzo lubianym przeze mnie [daniem] teraz sobie przypomniałam, były pierogi z kaszą gryczaną, serem i miętą. I ze śmietaną. Nie dawało się do tego żadnego tłuszczu, tylko śmietanę. To było bardzo dobre. Mięta rosła u babci w ogródku. Babcia miała dwie mięty, jedna była lekarska, a druga była właśnie do pierogów. W ogóle babcia miała bardzo dużo ziół w ogrodzie, między innymi rosła ruta. Przychodziła do nas taka sąsiadka, która stwierdziła, że ta ruta bardzo jej pomogła na serce, więc babcia jej nie żałowała, ucinała, rwała tę rutę. Nie wiem, czy ona sobie to suszyła, czy parzyła, wiem że chodziło o rutę. Były też kluski. Oczywiście, nie kupowało się gotowych, wszystko było gotowane w domu. Były kluski rwane i kluski suszone. Suszone na blasze, na kuchni. Bo kuchnia była normalnie węglowa, miała dwie płyty z fajerkami, a trzecia była tak zwana ślepa blacha, na której się stawiało coś, żeby się podgrzało, bo pod spodem był piekarnik –to się nazywało duchówka, a na dole był popielnik. Suszyło takie drobne kluski, które były troszeczkę jak chipsy, ale takie grube i drobne. Później były gotowane z dynią. Dynia była gotowana na mleku i w to właśnie te suszone kluseczki takie lekko nawet podrumienione były wrzucane. To była zupa z dyni. Oprócz tego, już na wielkie święto, na Boże Narodzenie, był bigos. Ale to już był rarytas.

21. Okupacyjne Boże Narodzenie

W czasie okupacji przywozili rąbankę. Kobiety przywoziły do naszego domu kury, jajka. Jak przyjechały wieczorem, to babcia im dawała schronienie w kuchni. Jak, gdzie i na czym one spały, to nie kojarzę. Rąbanka była przywożona, ale oczywiście to było przestępstwo jakby się Niemcy dowiedzieli. To było utajnione ogromnie, nikt nic nie mógł mówić. Pamiętam jak ta rąbanka wyglądała. To były całe kawały świni, wołowiny sobie nie przypominam. Już za czasów powojennych taka gospodyni z Bystrzycy przywoziła do nas cielęcinę. Tę cielęcinę to ja pamiętam. Pamiętam te ryby, które babcia robiła, uszka, barszcz to było na pewno na Wigilię. Śledzi nie pamiętam. A przecież to też było takie danie żydowskie, ale nie przypominam sobie tego. Choinkę mieliśmy zawsze żywą. Tak, zawsze była żywa choinka i zawsze stała w pokoju. Stojak był zrobiony przez wujka, który też był stolarzem albo przez jeszcze dziadka, ale nie przypuszczam. Była oprawiona w taki krzyżak.

22. Kalina, mała ojczyzna

Kalina to taka mała ojczyzna. Jako dziecko, jako dziewczyna może nie byłam tak związana ze wspomnieniami, to przyszło chyba z latami. Może to też jakiś sentyment i teraz nie mogę powiedzieć, że jest mi obojętne to, co się działo i to, co się dzieje teraz na mojej Kalinowszczyźnie. Nie pamiętam tam drewnianych domów. Były murowane, nawet te [zabudowania] gospodarskie były murowane. Dom mojej babci był zbudowany z białego kamienia. Dach był przykryty eternitem. Taka wtedy widocznie była moda, że na Kalinowszczyźnie były domy murowane. Nie pamiętam, żeby był którykolwiek drewniany, z tym, że te domy z kamienia były parterowe. Największym budynkiem był dom Rządów. Na ulicy Towarowej domy były piętrowe. Parterowe domy były tu przy samej garbarni. [Domy] Bieruta, Marciniaka były parterowe. Oni tam mieli jakieś ogródki małe, potem pan Bierut dzierżawił jakieś ogrody, był ogrodnikiem. Jego córka Celina chodziła ze mną do szkoły podstawowej. Powszechnej, jak wtedy się mówiło na szkołę podstawową. Wiem, że drewniany był dom państwa Bujalskich vis a vis kościoła świętej Agnieszki. To był dom drewniany, wchodziło się po schodach też drewnianych, cały środek i góra była też drewniana. Nie kojarzę, żeby były inne drewniane [budynki]. Nie było żadnego budynku krytego strzechą, nie. Nawet te, które były tam u państwa Gnybków to też miały dachy kryte eternitem. Pamiętam [z bardzo dawnych czasów], że była jakaś czy to stodoła, czy obora strzechą kryta, na samym początku ulicy Wiejskiej, [obok] dom z cegły, kryty eternitem. Do tej pory ten dom stoi i jest tam zarząd działkowy w tej chwili. Myślę, że [tych ludzi] serce boli, bo im zabrali domy, zabrali im to całe pole i tam nic nie wybudowali. Dali tylko fragment na ogródki działkowe. Mnie przynajmniej nie żal, bo wiem, że w tej chwili na tym naszym ogrodzie stoją dwa wieżowce. A tam zabrali i właściwie nic nie zrobili, na zmarnowanie [poszło]. Ale widocznie był pęd, żeby pozabierać ludziom wszystko co mają, bo będzie wtedy równo. Pan Koryzna to był ktoś na ulicy Wiejskiej. Ale z szacunkiem odnosili się i do pana Franaszczuka, i do mojej babci. Do pani Drzymulskiej się przychodziło, bo pani Drzymulska poradziła, bo pani Drzymulska dała co trzeba z ogrodu, ale też wiele innych rzeczy. U mojej babci można się było zawsze pożywić, rodzina Drzymulskich już taka była. Na samej Kalinowszczyźnie rodzina Rządów to byli ludzie majątni, oni mieli sklepy. Rodzina Rygierów, rodzina Zabłockich. Państwo Kellerowie, państwo Żmudzcy, to też byli tacy uczciwi, porządni ludzie.

23. Chodziło się „do miasta”

Do centrum to się chodziło, nikt z tego autobusu nie korzystał, bo to na ileś tam groszy kosztowało, a każdy miał zdrowe nogi, więc szedł. Z Kalinowszczyzny szło się ulicą Sienną, tu, gdzie w tej chwili jest Lidl. Ale ulica Sienna również biegła koło kirkutu, z drugiej strony kirkutu, trudno nawet teraz narysować jak ona biegła. Przed samym zamkiem jeszcze stał taki samotny piętrowy dom. Przechodziło się pod

zamkiem, już jak myśmy [sami] chodzili to nie było tych zabudowań. Cała ta dzielnica żydowska była już zniszczona. Jak ja pamiętam to już w czasie okupacji myśmy szli tędy pod zamkiem, dochodziliśmy do bramy w tej chwili Grodzkiej, o której się mówiło Brama Żydowska i wtedy już się tam było w mieście. Była jeszcze ulica, którą jechały samochody. Jechaliśmy Kalinowszczyzną między Białkowską Górą i skręcało się koło cerkwi. Tutaj była ulica Ruska. Wiem, że była ulica Szeroka, że była ulica Krawiecka, ale nie potrafię ich umiejscowić. A piechotą chodziliśmy właśnie tamtędy przez ulicę Sienną. Jeszcze powiem, że w czasie okupacji Niemcy w kirkucie wybudowali schrony. Takie pieczary, dosłownie pieczary, szalowane belkami okrągłakami, tak to nazywali. Dlaczego? Co oni tam przechowywali? Nie wiem. Były przynajmniej cztery takie schrony, właśnie od ulicy Siennej i tam jeszcze widać, w którym miejscu zostały zamurowane. Nie sądzę, żeby były rozebrane, bo to byłoby niebezpieczne, raczej zostały zamurowane. To zrobili Niemcy. Myśmy rzadko kiedy chodzili ulicą Kalinowszczyzna, tylko ogrodami się szło, biegło się tędy przez nasz ogród, ogród pani Franaszczukowej, ogród państwa Kellerów i wychodziło się na ulicę Cmentarną, a tu już blisko było do kościoła. Tak, że na skróty się szło, przez ogrody, jak się mówiło.

24. Cygańskie tabory nad Bystrycą

Pamiętam, jak byli tu Cyganie, ale to już bardzo dawne czasy. Rozlokowali się gdzieś nad brzegiem rzeki, nad Bystrycą. Mieli całe takie tabory, takie kolorowe wozy w konie zaprzężone i pamiętam, że się wszyscy gospodarze naokoło bali, że Cyganie tutaj się sprowadzili i pokradną im kury. Taka była wersja, że kradli, ale z czegoś musieli żyć jak nie pracowali. Bo Cygan nie sieje, nie orze, gdzie spojrzysz tam jego zboże – taka piosenka była. No więc oni byli tu, na Kalinowszczyźnie. Cyganów pamiętam również nie tak dawno, kiedy się rozlokowywali tam przy naszych ogródkach działkowych, ale to były lata już, ja wiem, może 15 lat temu. Tam się zagospodarowywali. Jakieś deski, jakieś dykty, jakieś blachy tam ściągali, ale jak szli z zakupami to w tej siatce mieli balerony, nie mieli takiej zwyczajnej kiełbasy ani salcesonu. To też jakoś sobie dobrze żyli. A w ogóle Bystrzyca to była bardzo głęboka rzeka. Tutaj można się było utopić. Chłopcy chodzili pod tak zwanym warem, to była taka śluza przy młynie, tam było bardzo głęboko, ale chłopcy, którzy umieli pływać, to tam pływali. O Cyganach, wiem że koczowali nad Bystrycą, tam szczególnie, bo tutaj nigdzie w pobliżu nikt im nie pozwolił, bo tam każdy coś miał, jakiś kawałek pola, kawałek ogrodu. A te łąki nad samą Bystrycą, to raczej się nie nadawały do niczego, bo pamiętam jako dziecko, że oprócz tego, że tam było pastwisko, to one były podmokłe bardzo i myśmy tak z kępy na kępę skakali, oczywiście boso. Woda była taka nagrzana na tych łąkach i żaby tam skakały.

| | |
|--------------------------------|--|
| Data i miejsce nagrania | 2015-11-05 |
| Rozmawiał/a | Joanna Majdanik |
| Redakcja | Agnieszka Piasecka |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |